Rok XXIV. We Lwowie, dnia 11. maja 1917. Nr. 19.

Gazeta Kościelna

Przedpłata: roczna . . 13·— K.
półroczna . 7·— „
kwartalna . 3·50 „
Rękopisów, przyjętych do druku, Redakcya nie zwraca.

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KOŚCIELNYM I SPOŁECZNYM.
ORGAN TOWARZYSTWA WZAJEMNEJ POMOCY KAPŁANÓW.
Wychodzi każdego piątku.

Redakcya, Administracya i Ekspedycya: X. Dr. A. Pechnik, Sykstuska 84.
Inseraty przyjmuje się za opłatą 30 hal. od wiersza petitu.
Reklamacye otwarte wolne są od opłaty pocztowej.

Udział Matki Boskiej w dziele Odkupienia.

Zdziwiło może niejednego, kiedy wertował dzieła starych teologów, że postać Bożej Rodzicielki szczupłe nadzwyczaj w ich traktatach zajmuje miejsce. Dział ten, zajmujący w scholastyce zaledwie kilkanaście stronic, u nowszych pisarzy rozrósł się już w tom okazały. Jest to owoc rozwoju dogmatu katolickiego. Nie odkryto wprawdzie nowych źródeł i danych objawionych, lecz poczęto ten żywy i niezmiernem bogactwem rysów jaśniejący obraz Matki Bożej, który Pan Jezus powierzył Apostołom i złożył w tradycyi Kościoła, poddawać głębszej analizie i systematycznemu opracowaniu. Postać ta Boga Rodzicy, żyjąca przez wieki bardziej w sercu Kościoła aniżeli w jego rozumie, bardziej w praktycznej pobożności i w kulcie wiernych, aniżeli w uczonych dziełach pisarzy, wprowadzona zostaje w sferę specyalnych dociekań, które, wyodrębniając pojedyncze zalety jej piękności, coraz to inne odkrywają w niej tajemnice i cuda. Wśród wieńca chwalebnych Jej tytułów pojawiać się począł zrazu nieśmiało, z pewną rezerwą i wahaniem, nie bez sprzeciwu ze strony teologów, głównie w dziełach ascetycznych, lecz w końcu także w urzędowych dekretach papieskich [1]) i rzymskich Kongregacyi adoptowany tytuł: „Maryi — Współodkupicielki rodzaju ludzkiego".

Cóż oznacza to określenie?

Współudział Matki Najśw. w dziele Odkupienia można uchwycić jakoby w podwójnym przekroju:

1-o W bardziej poziomym wedle następstwa wydarzeń i tajemnic Jej życia;

2-o w bardziej pionowym — wedle rozmaitych stopni i momentów zbawczego Jej współdziałania i rozmaitych przedmiotów, do których się ono odnosi.

1. Rozpatrzmy te współdziałania zbawcze Matki Bożej wedle pierwszej modły: Wpada nam tutaj w oko naprzód życie Matki Boskiej aż do Zwiastowania. Tradycya maluje nam to życie na tle starozakonnych stosunków żydowskich, na tle życia najlepszej części narodu wybranego, wśród tęsknego, tajemniczego wyczekiwania obiecanego Mesyasza. Czystością serca i wiernością w służbie Jehowy utorować drogę Zbawicielowi, tęsknem a żarliwem błaganiem ściągnąć Go z nieba — oto wzniosłe zadanie tych kół, wśród których dziecięce lata swe spędziła ta dusza, którą Syn Boży upatrzył sobie na Matkę zarazem i Oblubienicę. Zgodnie z atmosferą, w której żyła, wznosiła i Ona oczy i ręce ku górze i głosem serca starała się przyspieszyć godzinę spełnienia wielkich obietnic Bożych. Jak później Jezus w zaciszu Nazaretu, tak też i Matka Jego w tym okresie swego życia na zewnątrz niczem się nie wyróżnia od swego otoczenia. Tylko na dnie duszy dzieją się rzeczy tajemnicze, tam buduje się „Brama niebieska", przez którą niebawem zejdzie nad nocnym mrokiem ludzkości jasność słoneczna, tam przyozdabia się słodkim swym blaskiem, „Gwiazda poranna", która wkrótce z łona swego wyda jasne słońce zbawienia. Już w pierwszej chwili istnienia nad duszą tą zajaśniała niewidziana dotąd u nikogo korona wybrańswa Bożego. Już wtedy na duszy Jej jaśniał chryzmat macierzyństwa Bożego, mocą którego Syna Bożego miała zrodzić sobie na Syna. Już wtedy przeznaczył Ją Ojciec Przedwieczny na Oblubienicę w odbyć się mających zaślubinach Bóstwa z człowieczeństwem. Już wtedy wola Wszechmocnego te dwie Osoby Jezusa i Maryi tak ściśle skojarzyła, tak jedną do drugiej dostosowała i dostroiła, tak jedną drugiej nawzajem oddała, że nawet najściślejsze w ludzkich stosunkach formy kojarzenia się osób ze sobą macierzyństwa i ślubów małżeńskich, obie te formy nawet w jedną zlane, jak u Maryi Matki i Oblubienicy, nie są zdolne wyrazić ścisłości tego zjednoczenia.

Dusza Maryi, to świątynia Bóstwa najwspanialsza ze wszystkich, jakiekolwiek stanęły na ziemi, nie od razu była we wszystkiem doskonale wykończona. Tem różni

[1]) Dekret św. Officyum (de indulg.) z 26. czerwca 1913.

się od Chrystusa. Ale mimo to już w pierwszej chwili swego istnienia nie miała równej sobie na ziemi ani na niebie, ni blaskiem świętości, ni majestatem godności. Z fundamentów i wiązań, z ozdób i pozłoty widocznem było, że tam znajduje się sanktuaryum całej ziemi, że tam spełni się największa z tajemnic. Bo nie był ten przybytek wybrany na prywatną jakoby tylko kapliczkę jednej duszy, ale na publiczną świątynię całej ludzkości, w której rozbrzmiewać miał ów głos błagania, który mocą swą Boga miał ściągnąć na ziemię. Jej dusza — to jakoby kwiat, który wyrósł na dolinie płaczu i dojrzał pod słonecznymi promieniami łaski Bożej i skupił w sobie całą krasę, całe bogactwo, całą tęsknotę i całą potęgę ludzkiego błagania tak, by wdziękom tym Syn Boży oprzeć się nie mógł.

I oto na tem polega pierwszy okres zbawczego współdziałania Maryi: wierną współpracą wykończyć świątynię Boga i tak przyozdobić, by blaskiem i pięknością swą ujęła Serce Boże i zniewoliła do zamieszkania w niej; równocześnie zaś w swem sercu skupić błaganie i prośby ludzkie, naznaczyć je godnością swego macierzyństwa Bosko-ludzkiego, a przez to dać im siłę i prawomocność nieomylnie pewnego i natychmiastowego wysłuchania.

2. C h w i l a Z w i a s t o w a n i a otwiera drugi okres zbawczego działania Niepokalanej Dziewicy. Jest to epokowy moment Jej życia: poczęcie Chrystusa naprzód w duchu, a potem w ciele.

Syn Boży bowiem pragnie się spuścić do Jej łona nie tylko jako do M a t k i swej, ale zarazem też jako do O b l u b i e n i c y. Jako Oblubienicę chce Ją przybrać do boku swego jako wspólniczkę w dziele Zbawienia. I to nie tylko w jej jednostkowym charakterze chce Ją poślubić, ale całą ludzkość w jej najgodniejszej przedstawicielce. Wysyła tedy poselstwo anielskie, które ma przynieść odpowiedź Dziewicy. I otóż w Jej ręku w tej chwili złożone losy nieba i ziemi. Ma przemówić, a przemówić nie tylko w imieniu swem, lecz także w imieniu całego rodzaju ludzkiego, który na Nią spogląda, jako na swoją rzeczniczkę, godnością swą bowiem przerosła najwyższe cedry Libanu. Bóg zaprasza Ją do naprawienia tego, co Ewa zepsuła, macierzyństwo Jej ma zetrzeć hańbę pierwszej matki. I zdając sobie sprawę z tego, co to znaczy objąć w swem sercu przedstawicielstwo ludzi razem z macierzyństwem ich Zbawcy, wypowiada owo „fiat“, którego doniosłości przestrzeń i czas objąć niezdolne.

I kiedy owem „fiat“ przyjęte zostało oświadczenie się Boskiego Oblubienica, Duch św., ten Duch odwiecznej jedności i miłości między Ojcem i Synem, zstępuje na ową duszę, by tym samym duchem jedności i miłości połączyć Syna z Dziewicą-Matką, iżby Ta, która oddała się Jemu jako Oblubieńcowi, otrzymała Go z powrotem jako Syna, by chwała Boskiego narzeczeństwa opromienioną została godnością macierzyństwa. I w chwili owego „fiat“, w ślad za moralnem onem zaślubieniem, idzie fizyczne tegoż dokonanie. W ręku Ducha św. ciało Maryi staje się rzeczywistem, fizycznem narzędziem tego dzieła, które ma być koroną całego stworzenia: ludzkiej natury Chrystusa. Jaka to musiała być moc, która wtedy przenikała całą istotę Bożej Rodzicielki, kiedy jako wspólny owoc z tego skojarzenia się wszechmocy Bożej z dziewiczem łonem Maryi wyszedł: Bóg-Człowiek!

3. I natrafiamy tutaj znowu na nowy moment w zbawczem posłannictwie Maryi: Marya przygotowuje światu organ zbawienia. Wprawdzie tylko jako narzędzie w ręku Ducha św., ale zawsze przez posługiwanie, któremu nie masz równego na świecie, przyobleka ona Syna Bożego w naturę ludzką. Nawet kiedy kapłan jako narzędzie Chrystusa sprowadza Go żywego na ołtarze ziemskie, jest jedynie piastunem i przewodnikiem Boskiej potęgi, sam jednakowoż z siebie nic nie produkuje, nic Mu ze swego nie udziela. Marya zaś z siebie produkuje, ze swego ciała i krwi tworzy Ciało i Krew Boskiego Syna, to ciało ożywcze, caro vivificans, które ma być żertwą ofiary Zbawienia i organem uświęcenia całej ludzkości. Za sprawą więc Maryi, bo kosztem Jej krwi i Jej ciała Syn Boży będzie mógł złożyć ofiarę, jedną jedyną godną oblicza Bożego, godną Majestatu Bożego: nieskończoną, w owocach swych nieprzebraną. Dzięki więc Maryi ludzkość będzie miała swoją ofiarę; przez wplecenie bowiem Jej Osoby w zbawczy łańcuch dekretów Bożych, jako ogniwa łączącego ludzkość ze Zbawicielem, stało się, że ofiara zbawienia jest owocem tej ziemi, latoroślą najszlachetniejszą rodzaju ludzkiego, własnością ludzi, ich chwałą i ich wybawieniem.

I tak coraz więcej nici zadzierżgiwa się między Odkupicielem, a Matką Odkupiciela. Przygotowanie żertwy, to dopiero punkt wyjścia, dalszy rozwój wypadków nici tych jeszcze więcej namnoży, współdziałanie Maryi z Jezusem uczyni jeszcze ściślejszem.

4. Bo oto za przygotowaniem żertwy niezadługo idzie jej o f i a r o w a n i e. Wolną a nieprzymuszoną wolą ma Syna oddać na ofiarę Zbawienia. Aktem, w którym z jednej strony jako Królowa stoi po prawicy Króla-Kapłana, z drugiej jako reprezentantka rodzaju ludzkiego góruje wysoko nad tem szarem mrowiem, ma znowu zadecydować o losach Jezusa i losach ludzkości, aktem nadzwyczajnie cennym i zasługującym w oczach Bożych. Bo chociaż ten Syn Jej jest Bogiem i nie jest Jej podległym, ale Ona raczej Jemu, to przecież Jej się darował w charakterze jej Dziecka i stąd jako Matka ma prawo Dzieckiem swem rozporządzać. I otóż korzystając z tego prawa, oddaje Je na ofiarę dla zbawienia ludzi. Świadkiem tego aktu była świątynia jerozolimska w chwili, kiedy Marya z Jezusem stanęła w jej progach przed starcem Symeonem. Akt przyprowadzenia ofiary do ołtarza w naturalnem następstwie prowadzi do jej d o p e ł n i e n i a, z przedsionków świątyni wiedzie droga „extra castra“ na Golgotę.

5. I oto nowy okres współdzielczego Odkupienia Maryi: „Stabat iuxta crucem“. I te cierpienia Matki Bolesnej, bardziej w sercu aniżeli na ciele przeniesione, mają znowu znamię nie osobistej lecz publicznej ekspiacyi, mają doniosłość powszechnego zbawienia. Nie w p ó ł r z ę d n i e z Jezusem, lecz w doskonałem p o d p o r z ą d k o w a n i u pod hierarchiczne przełożeństwo tego Najwyższego Kapłana sprawuje Marya swój urząd ofiarniczy, d r u g o r z ę d n y wprawdzie, ale niezmiernie ważny i zaszczytny: posługiwania świętego w nieskończonej Ofierze świata. Żertwa wprawdzie jedna tylko, ale krwawi się jakoby na

ołtarzu podwójnym: raz na krzyżu, drugi raz w sercu Maryi. Co Jezus, jako kapłan przez Boga namaszczony czyni samodzielnie, własną swą mocą, kładąc swe ciało na ołtarzu krzyża, to samo ciało kładzie Marya na ubłagalnię swego serca, jako ciało od Niej pochodzące. Podobna w tem do onych lewitów starozakonnych, którzy zwierzęta ofiarne przyprowadzali do świątyni, zabijali, krew ich wylewali w ręce kapłanów, aby ci ją następnie prawomocnie Bogu poświęcali, — i Ona przyprowadza swego Baranka, składa na ołtarzu, przyzwoleniem swem na śmierć wydaje, Chrystus zaś żertwę tę świętością swego Bóstwa po kapłańsku poświęca i spala na ofiarę przyjemną Najwyższemu. A rola Maryi przy tym ofiarniczym obrzędzie znowu jest na wskróś publiczna, posługiwanie w imieniu całej ludzkości podjęte. Ofiara Chrystusa jest nie tylko ofiarą przez Niego zaniesioną, lecz także ofiarą przez ludzkość złożoną, a ręka, która ją złożyła — to ręka Maryi. Ponieważ zaś ta ręka, która Bogu część oddaje, powołana jest zwykle do tego, by z ofiary uwielbienia płynące łaski i owoce w sobie przyjmować, słusznie więc należało się w ręku Maryi założyć skarbiec łask odkupienia. W imieniu ludzkości bierze je w posiadanie, w imieniu Boga rozdziela je między odkupione swe dzieci.

6. Okres zasługujący Jej życia przechodzi teraz w okres tryumfu i rozporządzania owocami Zbawienia, przyswajania ich ludziom. By owoce Zbawienia przenieść na cały rodzaj ludzki, ciało naturalne Jezusa, które z żerty ofiarnej przemieniło się w organ uświęcenia, rozsadza tajemniczą swą siłą i żywotnością swe kształty, rozszerza swe członki, przedłuża tkaninę swych komórek i tworzy jako kontynuacyę swego ciała rzeczywistego swe ciało mistyczne. Matka pierwszego musi oczywiście być także matką drugiego. I jest nią w rzeczy samej, nie tylko w tem znaczeniu, że zrodziwszy Jezusa, tem samem przygotowała Kościołowi materyę niejako stanowiącą wewnętrzny fundament i strukturę Jego, ale jeszcze w tem znaczeniu, że na tę strukturę, na to ciało Jezusa mistycznego, Ona, niby serce, krew życia Bożego z Głowy na członki sprowadza. I oto dlaczego ta Niewiasta „przyobleczona w słońce“, pojawia się w dniu narodzenia Kościoła św. w wieczerniku otoczona niby wieńcem dwunastu gwiazd około skroni, gronem Apostołów, by jako Matka Odkupiciela a wierna towarzyszka i pomocnica w dziele zbawienia, okazać mu piersi, które ssał, pokazać serce, na którem się krwawił i mocą wstawiennictwa swego tchnienie Ducha św. na ludzi sprowadził. Z drugiej strony jako reprezentantka ludzkiego plemienia, jako pod krzyżem przyjęła w swe ramiona martwe ciało swego Syna, jako pierwszy owoc drzewa krzyżowego, tak we wieczerniku zstępującego na ziemię przyjmuje Ducha św. i w sercu swem przedstawia miniaturę całego Kościoła. Stanowi Ona natenczas jakoby całe ciało mistyczne w zarodku i zarazem doskonały wyraz ludzkiej do przyjęcia Ducha św. dyspozycyi i godne dlań na ziemi mieszkanie. Skoro zaś ten Kościół, wypieszczony czułą ręką Matki-Maryi, stanął o swych siłach, skoro zapłodniony Duchem, przez Nią sprowadzonym, począł żyć życiem samoistnem, wypełniło się zadanie Współodkupicielki na ziemi. To też przeniesioną zostaje w tryumfie do nieba i umieszczona na tronie królewskim obok Syna, by jako Pani nieba i ziemi plon zbierała swej pracy.

A plon to nie mały. Za udział w Odkupieniu otrzymała udział w rozdawnictwie łask Odkupienia, otrzymała urząd wykonawczyni testamentu Chrystusowego, urząd szafarki Jego. Należy się Jej ta godność z potrójnego tytułu. Należy się raz, że jest Matką Bożą. Ręka Jej bowiem, jako Matki Bożej nigdy na próżno nie może się z prośbą wyciągać ku Bogu, Jej wstawiennictwo musi być wysłuchane. Należy się Jej ta godność powtóre jako Współodkupicielce, bo współcierpieniem swem nabyła prawa do rozdzielania łask, które krwią Jezusa zostały dla ludzkości nabyte i w ręku Maryi jakoby w powszechnym ludzkości skarbcu złożone. Należy się Jej ta godność wreszcie dlatego, że jest Matką ludzi i jako ich Przedstawicielka każdą łaskę bierze niejako w ich imieniu w posiadanie. Ona w imieniu ludzi wyprasza łaski, w Jej modlitwie błaganie ludzi i odpowiadająca łaskom Bożym dyspozycya znajduje najdoskonalszy wyraz. Stąd też ręce Jej, które na te łaski nie tylko pracowały, ale je wybłagały, najpierw powołane są, by je objęły w posiadanie i między ludzi rozdzielały.

Oto mniej więcej w krótkiem naszkicowaniu zawartość dogmatyczna tego określenia Maryi jako „Współodkupicielki“. Na tle dziejów Odkupienia odnajdujemy więc doskonałe wykończenie tego wspaniałego obrazu, którego pierwsze rysy jeszcze w raju zostały rzucone i z zamierzchłej oddali wieków ku nam się wychylają: onej Niewiasty światu zapowiedzianej, która zwycięską walkę stoczyć ma z szatanem i razem z Nasieniem swem i przez nie zetrzeć pyszną głowę jego.

X. Karol Szrant C. ss. R.

Czy wolno nam się usunąć po wojnie od pracy społecznej?

Stoimy u progu pokoju. I choć jeszcze grzmią działa, choć gotują się nowe jeszcze walki, czujemy, że musi nastąpić teraz jakaś zmiana, przełom w dotychczasowych wypadkach. A choćbyśmy się nawet omylili w rachubie czasu, to w każdym razie rozsądnie przypuszczać należy, że znacznie krótszy okres wojny pozostaje przed nami niż za nami. Przyjdzie nareszcie upragniona chwila pokoju, ale czy pokój ten zaraz będzie błogi? Jaki ogrom pracy czeka nasze społeczeństwo po wojnie, ile zadań mamy do spełnienia, ile ran do zgojenia! Na myśl o pokoju w każdym ożywia się energia do czynu, chęć odrodzenia się na nowo. Każdy zdrowo myślący i kochający swój kraj obywatel obiecuje sobie wziąć żywy udział w przebudowie społeczeństwa i kraju. Tworzą się rozmaite organizacye i związki, aby nie tylko przyjść z pomocą społeczeństwu w wojnie, lecz także przygotować grunt dla działalności powojennej. A czyż my kapłani nie mamy zadać sobie pytania, jaka będzie nasza rola w przebudowie kraju? Czy mamy wziąć czynny udział w szerokiej pracy społecznej? A myślę tu nie o pracy podejmowanej dorywczo przez niektóre jednostki z pośród duchowieństwa, więcej zapalone do tej pracy i już trochę w nią wdrożone,

ale o planowej i dobrze zorganizowanej pracy całego duchowieństwa.

Były już głosy na ten temat, ale niestety przeciw „zbytniemu angażowaniu się w robocie społecznej“. Pod tym tytułem ukazał się artykuł w „Gazecie Kościelnej“ Nr. 4 (26. stycznia 1917). Autor ukryty pod pseudonimem Żegoty uznaje wprawdzie konieczność pracy społecznej, uważa ją za postulat chrystyanizmu, a Chrystusa stawia za wzór społecznika, ale po takich przesłankach, zamiast zachęcić współbraci do tem gorliwszej pracy, każe duchowieństwu wycofać się po wojnie z działalności ekonomiczno-społecznej. Kilka „ale“ wystarczyło autorowi do uformowania swego zapatrywania. Czy słuszne jest to stanowisko autora i wogóle tych, co podobnie myślą? Nie mam tu zamiaru polemizować z autorem, wydaje mi się jednak, że nie można tak lekko załatwiać się z tak ważnemi zagadnieniami, jak sprawa współudziału duchowieństwa w pracy społecznej po wojnie. Myślę, że należałoby na łamach naszego pisma wypowiedzieć się jasno i obszernie o tej sprawie tak teraz dla nas aktualnej. Księża teraz już nabyli niejakiej znajomości spraw społecznych i mogą dużo o nich powiedzieć, bo wszyscy prawie pracują w Komitetach parafialnych K. B. K. i innych instytucyach. Sprawa jest tem ważniejszą, że jej rozstrzygnięcie pociągnie za sobą albo jednolity, dobrze obmyślany program społeczny duchowieństwa, albo wycofanie się nawet z obecnych stanowisk działalności społecznej.

Postawmy sobie to zasadnicze pytanie, czy idea kapłaństwa nie zawiera czegoś przeciwnego pracy ekonomiczno-społecznej? Odpowiedź na to pytanie nie trudna, bo przecież Chrystus kazał troszczyć się nie tylko o duszę, ale i o ciało swych owieczek, nie da się zaś dokładnie wymierzyć, gdzie więcej pracy potrzeba. Wprawdzie głównem polem działalności kapłańskiej jest dusza ludzka, ale często trzeba wpierw ratować ciało, jeśli dusza ma być ocalona. To czynił Chrystus, czynili Apostołowie, ustanawiając dyakonów dla zajmowania się ubogimi, czynił Kościół w ciągu wieków, zakładając szpitale, ochronki, podnosząc kulturę.

Śmiało rzec można, że do początku wieków nowych Kościół był głównym czynnikiem społecznym. Teraz czasy inne, olbrzymia część dawnych zadań spadła na barki ludzi świeckich, ale Kościół nie wyrzekł się wcale swego współudziału w życiu społecznem. Kościół ma nie tylko być stróżem całej działalności społecznej, ale sam ma czynnie w nią wnikać. Zaświadczyli to w zeszłym wieku wysocy i sławni dostojnicy kościelni. Jeden z nich, Emanuel Ketteler, biskup moguncki, swem śmiałem i energicznem wystąpieniem w kwestyi socyalnej rozwiał wśród duchowieństwa niemieckiego wszelkie wątpliwości co do akcyi społecznej a przez to stworzył silną podstawę dla niemieckiej akcyi katolicko-społecznej i wyrwał miliony ze szponów wrogów Kościoła katolickiego. W przedmowie do swego dzieła: „Die Arbeiterfrage“ tak pisze: „Boski nasz Zbawiciel połączył religię chrześcijańską nierozerwalnym po wszystkie wieki węzłem z wszystkiem, co się odnosi do złagodzenia duchowej i cielesnej nędzy ludzkiej“.

Drugim, wielce zasłużonym dla akcyi chrześcijańsko-społecznej pracownikiem był kardynał Manning, który słowem, pismem i czynem położył silne podwaliny pod gmach katolicko-społeczny w Anglii. Znamienne są jego słowa, które wypowiedział w czasie wielkiego strajku robotniczego w Angli do współpracownika pisma: „Figaro“: „Pomiędzy Kościołem, duchowieństwem a ludem powinna być jedność, bo Kościół nie opiera się dzisiaj na parlamentach i dynastyach, tylko na ludzie. Czy zechcemy, czy nie zechcemy, pozostanie praca w tym kierunku naszem zadaniem“.

Pracę w dziedzinie społecznej uważa kardynał za nieodłączną część pasterzowania. A jak wielkie ma ona znaczenie, przekonano się o tem w Anglii. Manning wprowadził w dotychczasowym stosunku Anglii do katolicyzmu zmianę na lepsze. Kościół katolicki zyskał tam ogromnie na znaczeniu, które ciągle wzrasta, bo objawił całemu narodowi, że katolicyzm może odegrać wielką rolę w zawiłych kwestyach społecznych. Przeciwnie we Francyi Kościół dotychczas jest ostro zwalczany, a w wielkiej mierze dlatego, że duchowieństwo w zeszłym wieku odsunęło się zupełnie od pracy społecznej. Gdyby bowiem duchowieństwo było podjęło szeroką akcyę społeczną, gdyby w swym ręku skupiło jej znaczną część, to państwo nie byłoby mogło z niem zerwać bez narażenia na szwank porządku społecznego.

Te usiłowania dwu wielkich biskupów — społeczników z drugiej połowy XIX. w. nie pozostały bez echa. Ozwał się głos, a głos potężny, bo pochodzący ze Stolicy Piotrowej, a była nim encyklika: „Rerum novarum“ Leona XIII. (15. maja 1891). Głos Namiestnika Chrystusowego rozwiał wszelkie wątpliwości co do udziału duchowieństwa w akcyi społecznej i orzekł, że „Kościół nie oddaje się tak wyłącznie uświątobliwieniu dusz, żeby zaniedbywał wszystko, co znikome i ziemskie“. Kiedy jednak duchowieństwo francuskie i belgijskie jeszcze wahało się rozpocząć akcyę społeczną, biskup leodyjski Doutreloux udał się w r. 1893 do Rzymu i przedstawił obawy swych kapłanów i dyecezyan. A wtedy Ojciec św. zapytał: „Veut-on donc laisser aller les ouvriers au socialisme et a la revolution?“ („Czy chcą więc dopuścić do tego, żeby robotnicy przyłączyli się do socyalizmu i do rewolucyi?“). Następnie zaś dodał: „Przedewszystkiem powinieneś, X. Biskupie, napominać swoich kapłanów, aby szli w lud, nie wolno im zamykać się w kościołach i stallach. Powinieneś, X. Biskupie, zagrzewać ich duchem apostolskim, tym duchem, który ożywiał takiego św. Franciszka Salezego, który wszędzie był, tu i tam biegał, aby wszędzie wszystkim naukę chrześcijańską głosić“.

Od tego zapatrywania nie odstąpił Leon XIII., bo w r. 1901 (19. stycznia) znów wydaje encyklikę „Graves de communi“, w której tak pisze o działalności chrześcijańsko-społecznej duchowieństwa:

„W całem tem przedsięwzięciu, tak ściśle z interesami Kościoła i ludów chrześcijańskich związanem, sługom ołtarza przypadło zadanie wielkiej wagi w udziale, które wymaga głębokiej wiedzy, praktycznego życiowego doświadczenia i miłości bliźniego. W przemówieniach naszych do kleru niejednokrotnie uznaliśmy za konieczne zwrócić uwagę, jak pożytecznem byłoby w obecnych czasach, wobec dzisiejszych stosunków, gdyby duchowieństwo wchodziło w bliższą styczność z ludem i zaczęło wywierać nań wpływ swój zbawienny“.

Czyż mało jeszcze dowodów, że nam kapłanom nie wolno się usuwać od pracy społecznej? Do tej pracy zachęcają nas i nasi Najprz. XX. Biskupi. I tak. J. E. X. Arcybiskup Dr. Bilczewski w swym liście pasterskim z 1903 r., w którym szeroko omawia kwestyę socyalną, rzuca również parę uwag o działalności społecznej duchowieństwa: „Mojem też najgorętszem pragnieniem, aby kapłani byli wszędzie ojcami ludu, starającymi się nie tylko o niebo dla swoich parafian, ale także o obfitszy chleb doczesny i mieli serce pełne miłości dla wszystkiego, co lud obchodzi, co go cieszy i boli".

W drugim zaś liście socyalnym z r. 1906 p. t. „O potrzebie ofiarności na cele społeczne i organizacyi katolickiej" kładzie również duchowieństwu na sercu obowiązek zajęcia się akcyą społeczną. Oto słowa listu:

„Od was, kochani Bracia, zależeć będzie, jaki obrót weźmie ta sprawa. Jeżeli zabierzecie się do niej energicznie i mądrze, nie żałując trudu i grosza, powiedzie się z pewnością i niemałe pożytki przyniesie. Jeżeli przeciwnie nie przyłożycie ręki do tej organizacyi, wymawiając się nadmierną pracą, brakiem środków, albo ciemnotą i niechęcią parafian, przyjdą wkrótce wrogowie i przeprowadzą swoją organizacyę, z którą potem walczyć będzie trudno".

A więc duchowieństwo ma ścisły obowiązek zająć się także pracą ekonomiczno-społeczną, bo to jest jedna z gałęzi nowoczesnego pasterzowania.

Kto w tych latach wojny jął się szczerze pracy społecznej dla dobra ludu, widział, ile można zrobić dobrego, ile dusz ocalić przez ratowanie ciała. I nie powinny nas odstręczać żadne trudności. Wywody X. Żegoty, że praca ekonomiczno-społeczna rozprasza ducha i nie pozwala kapłanowi spełniać należycie swych duszpasterskich obowiązków, nie przemawiają za porzuceniem tej pracy, gdyż i nauka i wogóle każde inne zajęcie także pochłania całą naszą uwagę, jeśli spełniamy je dobrze, a przecież nikt nie każe nam porzucać ich. Zresztą trudności w pracy społecznej są wielkie w początkach, ale po pewnym czasie nabiera się rutyny i doświadczenia, a myśl może swobodnie zajmować się i czem innem. Oczywista rzecz, że ksiądz nie może sam bawić się w sklepikarza i t. p., bo to nie wypada i zabiera wiele czasu. Do pomocy powinien sobie dobrać ludzi uczciwych i wyznaczyć im stosowne wynagrodzenie, a sam będzie tylko kierownikiem, nadzorującym bacznie całą działalność i główną sprężyną. To są już jednak szczegóły, które zostawiamy na czas późniejszy do omówienia.

Tu chodziło nam tylko o wykazanie, że na duchowieństwie ciąży obowiązek pracy społecznej. Sposoby i środki pracy mogą być później szczegółowo określone. Ponieważ więc sprawa to tak ważna, nie namyślajmy się długo, czy wypada nam zaciągnąć się pod chorągiew pracowników społecznych. My powinniśmy iść przodem, bo jeśli wypuścimy z rąk akcyę ekonomiczno-społeczną, uprzedzą nas nasi wrogowie i obrócą całą sprawę na niekorzyść Kościoła katolickiego. Całe społeczeństwo patrzy na nas i oczekuje wielkich dzieł od nas przy odradzaniu się zniszczonego kraju. Czeka nas praca trudna i zadanie wielkie, a czy jesteśmy gotowi, czy wytyczyliśmy już sobie drogi, któremi pójdziemy? Potrzeba jednolitego planu daje się odczuwać tem więcej, im bliżej jesteśmy chwili pokoju. Duchowieństwo powinno się wypowiedzieć w tej sprawie na łamach naszego pisma. Bardzo byłaby pożądaną ankieta w sprawie współudziału duchowieństwa w akcyi ekonomiczno-społecznej, bo przysporzyłaby niejedną cenną myśl, niejedną wskazówkę co do środków i metody pracy. Mamy już przecie podstawę do organizacyi w komitecie K. B. K., dokoła tej podstawy można snuć nowe plany na przyszłość.

Mam nadzieję, że te słowa nie przebrzmią bez echa, ale trafią do przekonania ogółu naszego duchowieństwa, tak czynnego i zasłużonego już dotąd dla sprawy narodu i wywołają szerszą dyskusyę na łamy naszej Gazety.

X. S. J.

Duchowieństwo a przedmioty liturgiczne.

Po wojnie trzeba będzie wiele kościołów i kościółków odbudować i wewnątrz urządzić. Nawet w zachowanych cało kościołach niejedno dokupić i uzupełnić. Z pewnością też posypią się różne ogłoszenia firm krajowych i niekrajowych, podejmujące się całego wewnętrznego urządzenia kościołów od a do z. A my, nie mając żadnej organizacyi w tym kierunku, będziemy przyjmowali te oferty, nie posiadając pewności ani co do j a k o ś c i towarów, ani co do ź r ó d ł a ich pochodzenia. I znowu nasze kościoły będą przepełnione drogo zapłaconemi lichotami, wykonanemi bez smaku i często wbrew przepisom liturgicznym. Będziemy stroili nasze ołtarze, feretrony i świece sztucznymi kwiatami papierowymi, drogo płaconymi, których najpoważniejszym dostawcą jest wielki handel żydowski we Lwowie, który też ma pracownię sztucznych kwiatów, zajętą przez pracownice żydowskie. Pomijając już dziwne zestawienie, że ołtarze chrześcijańskie zdobimy pracą rąk żydowskich, zastanowić nas winny poważne sumy, jakie nasze kościoły składają w tym celu, gdyż niema ani jednego, choćby najbiedniejszego kościółka, któregoby nędzy nie zakrywały papierowe kwiaty.

A jak już mowa o sztucznych kwiatach żydowskich, to trudno nie wspomnieć o obrazach, kupowanych przez nasz ludek do ozdoby ścian w izbach. Otóż jest rzeczą dowiedzioną, że i ten towar można znaleść u żydów, a jeśli kupiony u kramarzy odpustowych chrześcijan, to najczęściej najgorszy towar zagraniczny. Gdzież znowu znajdzie się chałupa wiejska bez świętego obrazu, a ileż nowych chałup powstanie po wojnie na wojennych zgliszczach? Któż ma się tem zająć, by odpowiednie obrazy znalazły się w świetlicach naszych braci siermiężnych? Czy ma im to wpoić wójt, czy sędzia, czy adwokat? Zostaje nauczyciel i ksiądz. Nie zawsze znajdzie się taki nauczyciel, tedy ksiądz z konieczności powinien o tem pomyśleć. A możeby można doprowadzić, żeby u roztropniejszych i zamożniejszych gospodarzy znalazł się obok obrazów religijnych i jaki piękny obraz narodowo patryotyczny? Możeby Kościuszko, nasi królowie i nasz wieszcz narodowy zagościł pod wioskowe strzechy?

A czy wieśniak lub wieśniaczka, chcąca kupić książkę do modlenia, musi ją kupować u kramarza odpusto-

wego, gdzie jej podsuwają również rozmaite senniki? A kalendarze, które lud kupuje, czyż z konieczności muszą być w obcych rękach i dlatego o treści nieraz gorszącej, a nieraz wrogiej religii? A medaliki, szkaplerze i różańce, a zabawki, sprzedawane w tak ogromnych ilościach dzieciom wiejskim z racyi odpustów, czyż koniecznie muszą być lichotą obcej marki, miasto stać się gałęzią rodzimego przemysłu i dać setkom w kraju uczciwy zarobek? Ktoś powinien o tem pomyśleć i nikt się tem chyba nie zgorszy, gdyby duchowieństwo o tem pomyślało, gdyż koło świątyń pańskich sprzedają takowe rzeczy i kupuje je nasz lud katolicki, sypiąc choć drobnym, ale licznym groszem.

A w samym domu Bożym, kościele, ileż to rzeczy koniecznych, a kupowanych za drogie pieniądze. Oto stacye drogi krzyżowej, żaden prawie kościół nie obejdzie się bez nich. A obrazy ołtarzowe i ścienne w kościołach, a feretrony i chorągwie, a dywany na stopnie ołtarza, a choćby taka drobnostka, jak turybularz, lub ampułki. A gustowne sukienki do puszek, piękne „vela“ do cyboryów i t. d.

Po cóż ja to wszystko wypisuję? Oto dlatego, że mojem zdaniem mogłoby zebrać się we Lwowie grono ludzi, złożone z księży i świeckich, którzyby zastanowili się nad stworzeniem odpowiedniej centrali dla szat i sprzętów liturgicznych, dla pięknych obrazów do kościołów i izb wiejskich, dla modlitewników i dewocyonaliów. A rzeczą Konfratrów będzie tę zbożną pracę wspierać po wszystkich zakątkach na razie naszej archidyecezyi i tym sposobem stworzyć tę konieczną placówkę, dającą chleb i zajęcie swoim. — Ludzie się znajdą i lokal także. Jest obecnie we Lwowie w domu katolickim ul. Gródecka 2 b., sklep t. zw. „katolicki“, który w ciężkich czasach wojennych sprzedaje obok świec liturgicznych także mydło i powidło... Ale zdaje mi się, że po wojnie należy mydło i powidło zostawić świeckim handlom, a w domu katolickim powinna powstać taka właśnie centrala dla przedmiotów liturgicznych, którąby miała wzory pięknych okazów w każdym dziale, służyła uczciwą poradą i ewentualnie sprowadzeniem danego przedmiotu. Ona też mogłaby skupić przemysł sztucznych kwiatów, który już istnieje we Lwowie w rękach katolickich i podnieść ten dział, sprzedając jego wytwory na prowincyę. Tam ma też być centrala dewocyonaliów, modlitewników, obrazów (a ewentualnie i wiejskich zabawek dziecinnych).

Centrala mogłaby wysyłać swych kramarzy na odpusty, a rzeczą duchowieństwa będzie w porozumieniu z innymi czynnikami tylko takim kramarzom pozwolić na sprzedaż towarów koło kościoła. Tym sposobem zamknie się drogę obcym lichotom, a grosz pójdzie na pożytek chrześcijan i rodaków. —

Trzeba jednak już obecnie pomyśleć o tem i grunt przygotować, bo później będzie trudniej. Mam nadzieję, że humanitarny K. B. K. na cele koniecznych a solidnych sprzętów i szat liturgicznych w zrujnowanych kościołach nie poskąpi pomocy. Tem bardziej, że tu chodzi i o placówkę narodową, dającą zarobek swoim.

A coś mi się zdaje, że wśród naszego duchowieństwa jest jeszcze tak ogromna moc „optymistów“, że gdyby nawet w tym celu zawiązało się jakie Towarzystwo udziałowe z niewielkimi udziałami, to znalazłaby się i pokaźna liczba drobnych udziałów. Wprawdzie przezacny X. J. M. nawołuje w przedostatnim nrze „Gazety Kość.“ do budowy domu dla bezdomnych księży deficyentów, ale gdyby proponowana centrala powstała i zaczęła żyć, to kto wie, czyby co nie dało się odłożyć i dla naszych księży bezdomnych.

Taka jednak sprawa potrzebuje gruntownego rozpatrzenia z każdej stony, dlatego bardzobym był wdzięczny za każdy głos rzeczowy w tej sprawie.

X. Raluszny.

Szlakiem wojennym.

1. Wilno.

Jak przed burzą nadciągającą lecą ptaki, kędy je wiatr poniesie, tak i przed wojną wielu z nas księży poszło w świat, nie wiedząc, gdzie oczy poprowadzą. Porwani nieubłaganą siłą, szli spełnić swą powinność — oddać Bogu, co jest boskiego, a cesarzowi, co jest cesarskiego. Było to cygańskie życie. Dzisiaj w puszcze węgierskiej, za miesiąc w śnieżnych Karpatach, raz w dzikich, skalistych górach siedmiogrodzkich, to znów w bagnach Polesia. I tak z dnia na dzień, z godziny na godzinę zawsze coś nowego, jak w kalejdoskopie. W czasie tej wędrówki zaczepiłem także o Wilno. W miarę tego, jak zbliżałem się do miasta, czułem, że się ze mną „coś dzieje“. Dawniej paliła mnie gorączka ujrzenia czegoś nowego — teraz dygotało serce w piersiach, a przed oczyma przesuwał się cały świat tych wielkich postaci, które tu w Wilnie pracowały na chwałę Polski. Nie dziw, wszak zbliżałem się do Aten północnych.

Jednak nie czas na rozmyślania, bo pociąg dojeżdża już do stacyi. Z centralnego dworca, piękniejszego niż warszawski, podziemnym kurytarzem wyszedłem na ulicę i tutaj uderzył mię ciekawy widok. Przed dworcem stały jednokonne dorożki, przypominające kibitkę rosyjską. Nad karkiem konia wygięty łuk, zwany popularnie „duką“, na koźle woźnica w granatowej kapocie po kostki, w ceratowym przypłaszczonym cylindrze, z numerem na karku. To ślady kultury rosyjskiej. Miasto samo na pierwszy rzut oka nie robi wrażenia wielkiego. Wązkie, kręte uliczki, nierówny bruk, tu i ówdzie drewniane chodniki. Ulice dawniej były prawdopodobnie brudne, dzisiaj czuwają Niemcy nad czystością, zmuszając ludność do wypełniania przepisów hygienicznych.

Zaraz na wstępie spostrzegłem, że nie ma tu kawiarń. W innych miastach, na Zachodzie, rosną te nowoczesne lokale jak grzyby po deszczu, tu zauważyłem zaledwie dwie czy trzy. Widać, że życie domowe, rodzinne, jest tu na Wschodzie wyżej rozwinięte, aniżeli u nas.

Zanim wsiadłem do dorożki, kilku wyrostków o smagłej cerze, w czarnych, charakterystycznych czapkach z daszkiem, wyrywa prawie przemocą walizkę. Poznałem ich. To nieodrodni bracia naszych galicyjskich, którzy w Wilnie rozrośli się na dobre. (Na 98.000 katolików i 8.000

prawosławnych — *73.500 Żydów* według spisu ludności z r. 1909). Po drodze spostrzegłem, że mój woźnica ściągnął okrycie z głowy. W pierwszej chwili sądziłem, że kapłan spieszy do chorego, bo nigdzie nie widziałem kościoła. Zaciekawiony, zatrzymuję woźnicę i pytam, dlaczego to czyni? Otrzymałem odpowiedź w czystym języku rosyjskim, że tu jest cudowna Matka Boża. Rzeczywiście zbliżaliśmy się do Ostrej Bramy.

Dojazd ze strony dworca przykry. Na prawo i na lewo ciągną się brudne kramy żydowskie, a nawet w pobliżu Ostrej Bramy mieszkają Żydzi. Smutne to — lecz prawdziwe. Pocieszałem się tem, że i u nas nie lepiej. Przez bramę przejeżdżają naładowane wozy, spieszą ludzie — słowem przelewa się życie. Jednak, zanim dojdą do bramy, wszystko wstrzymuje krok, zdejmuje okrycie z głowy. Tylko Żydzi i Niemcy protestanci idą w czapkach, inni odkrywają głowę na znak szacunku. Kiedy przechodziłem przez Ostrą Bramę i widziałem grupki mężczyzn i kobiet, klęczące na ulicy, zdawało mi się, że fale życia, pędzące dzisiejszego człowieka za zyskiem i użyciem, obijają się tutaj o potężną tarczę, która zmusza każdego prawie na chwilę zatrzymać się i pomyśleć o tamtej stronie świata.

Nazajutrz zacząłem zwiedzać Wilno. Oczywista, że należało rozpocząć od tego, co jest najdroższe sercu każdego Polaka. Na ulicy spotkałem znajomego kapitana Saksończyka. Był to protestant, który słyszał wiele o nadzwyczajnej czci, jaką żywią Polacy ku M. Bożej. Pragnął więc w mojem towarzystwie zobaczyć cudowny obraz. Naturalnie, że nie mogłem odmówić.

Przy kościele św. Teresy, nad bramą od strony miasta, widać nie wielką renesansową kaplicę, sklepioną trzema łukami. Z obu stron ołtarza są organy, których miechy ukryte za ścianą. Przy ołtarzu cztery kolumny obwieszone wotami. U góry piękny, pastelowy obraz P. Jezusa, „Ecce Homo“, a pod nim półksiężyc srebrny. W ścianie głównej obraz Matki Boskiej. Prócz twarzy i rąk, cały pokryty srebrną wyzłacaną szatą, gdańskiej roboty, z kanakiem z pereł i dyamentów. Nad głową N. P. dwie korony. Cały obraz pokryty klejnotami, orderami, łańcuchami. U spodu półksiężyc srebrny. Obraz malowany na spojonych deskach dębowych. N. Panna z dłońmi na piersiach skrzyżowanemi, bez Dzieciątka, z głową na prawo przechyloną, oczy na wpół powiekami przykryte. Na obliczu o cudnym wdzięku, osiadł smutek. Przed obrazem codziennie od 8. rano do południa odprawia się Msza św. a wieczorem litanie.

Wyznaję, że po schodach prowadzących do kaplicy wchodziłem z pewnem drżeniem. Wmawiałem w siebie, że powinienem iść z tą ufnością, z jaką idzie dziecko do matki. Spokojny jednak nie byłem. W chwili, gdy przestępowałem próg kaplicy, spostrzegłem mężczyznę klęczącego. Nie modlił się, nie szeptał, nie wzdychał, żaden muszkuł nie drgnął mu w twarzy, tylko w oczach świeciły dwie wielkie łzy — być może, że prosił o zdrowie dla syna przebywającego na wojnie. Tego, co się działo w mej duszy, nie opowiadam, niech zostanie to ze mną, jako pokrzepienie na przyszłość.

Kiedyśmy wyszli z kaplicy, nie mówiliśmy do siebie przez czas dłuższy. Było to poważne skupienie, w którem rodzą się dobre postanowienia. Po chwili rzekł ów kapitan protestant, że ta Matka Boża patrzała na niego jakoś dziwnie. Widział Madonnę Sykstyńską, stawał przed Immaculatą Murilla, rozkoszował się pięknem, jednak żadna M. Boża nie patrzała tak, jak ta Wasza. Być może, że go kiedyś w przyszłości, zaprowadzi nasza N. P. Ostrobramska do stóp swego Syna.

Kościół przytykający do Ostrej Bramy, w stylu włoskiego baroku, pochodzi z XVII. wieku. Fronton o wysokim ganku ma piękne oddrzwia z czarnego marmuru. Ołtarze w stylu barokowym, w głównym obraz św. Teresy. W kościele dwie kaplice. Godne uwagi jest cenne „antipedium“ srebrne w kaplicy Ukrzyżowanego Zbawiciela. Jest to płaskorzeźba, przedstawiająca Chrystusa dźwigającego krzyż. Oceniają ją znawcy na 4.000 rubli.

Wilno posiada dużo kościołów. Dla braku miejsca wspomnę tu tylko o trzech najpiękniejszych.

Kościół katedralny, ufundowany przez Wład. Jagiełłę w r. 1387, na gruzach świątyni Perkunasa, poświęcony przez arcyb. gnieznieńskiego Bodzantę. Cztery razy spalony i za każdym razem odnawiany, zmieniał swą formę ustawicznie. Dzisiejsza katedra zbudowana z cegły w stylu neo-klasycznym. Front zdobi piękny portyk, którego sklepienie wspiera się na 6 doryckich kolumnach. Nad kolumnami wypukłorzeźba prof. Righi'ego, wyobrażająca ofiarę Noego po wyjściu z arki.

Wnętrze kościoła dzielą dwa rzędy czworobocznych filarów, na trzy nawy jednako wysokie. Na ścianach dokoła naw bocznych zawieszono 16 obrazów włoskiego malarza Villani'ego. W samym kościele są tylko dwa ołtarze: wielki czyli „kanoniczny“ i „wikaryuszowski“. Z 11 kaplic, najpiękniejsza i najbogatsza kaplica św. Kazimierza zbudowana w stylu rozwiniętego baroku. Ściany wyłożone marmurem włoskim, w niszach figury Jagiellonów naturalnej prawie wielkości. Dawniej była to kaplica naprawdę bogata. Drogie marmury, srebrne figury, bogate świeczniki, lampy szczerozłote, wszystko to dodawało kaplicy blasku. Jednak za Jana Kazimierza przetopiono kruszec na monetę, by szczupły skarb państwa zasilić. Resztę zdarli i złupili Szwedzi.

Ma Kraków swego św. Stanisława, ma Wilno swego św. Kazimierza. Dwa klęczące anioły podtrzymują nad ołtarzem czarną trumnę, obłożoną srebrnemi blachami augsburskiej roboty. Wewnątrz w małej opieczętowanej skrzynce kości św. Kazimierza, owinięte w atłasowe pokrowce. Ściany boczne zdobią cenne freski Dankersa. Po lewej stronie ołtarza znajduje się przenośna ambona w kształcie kielicha, osadzonego na lecącym orle. Jest to cenny zabytek starej sztuki snycerskiej. Z ambony tej przemawiali nadworni kaznodzieje, między innymi także Skarga do rodziny królewskiej, która tutaj w kaplicy słuchała Mszy św. Pod kaplicą grobowiec królewski, obecnie zamurowany. Z zakrystyi prowadzą żelazne drzwi do cennego archiwum katedralnego i bogatego skarbca. Przed katedrą okrągła dzwonnica, której podstawę stanowi dawna wieża pogańska.

Z katedry poszedłem do kościoła św. Jana, który należy do najokazalszych w Wilnie. Zbudowany w stylu odrodzenia włoskiego, stoi bokiem do ulicy, a frontem na

dziedziniec uniwersytecki zwrócony Z kościołem tym związane są dzieje oświaty na Litwie. 14 ośmiobocznych potężnych filarów dzieli świątynię na trzy nawy. Sklepienie środkowe ma kształt łuku pełnego, boczne nawy ostrołukowe. Wnętrze kościoła imponuje rozmiarami swymi. Prześliczne jest „sanctuarium", tonące w błękitnem świetle a lśniące od marmurów i srebra. W głównym ołtarzu znajduje się arka srebrna, w ogniu złocona, pół metra wysoka, kryjąca w sobie cyboryum artystycznej staroświeckiej roboty. Nad głównem wejściem chór muzyczny z popiersiem Stanisława Moniuszki, który tu był organistą. W kościele pomniki Strojnowskiego, pierwszego rektora uniwersytetu, Mickiewicza, w tem miejscu, gdzie jako student słuchał Mszy św., Odyńca i Syrokomli.

Z 7 kaplic przylegających, najpiękniejsza kaplica Bożego Ciała. Na ołtarzu w stylu doryckim, wysoko wśród licznych wotów zawieszona rzeźba z drzewa, przedstawiająca Ukrzyżowanego Zbawiciela.

Miał ją sprowadzić Skarga z Norymbergi. Według podania w czasie Wielkiego Postu, kiedy zakrystyan okrywał zasłonami krzyże, z ust figury dał się słyszeć głos, aby tego nie czynić. Odtąd rzeźba ta pozostaje przez czas Postu nie osłonięta.

Jak wyżej wspomniałem, z kościołem św. Jana łączą się dzieje oświaty na Litwie. W r. 1513 proboszcz świętojański, Piotr Roizyusz Maureus, Hiszpan, założył przy kościele szkołę parafialną. 50 lat później Zygmunt August oddał kościół Jezuitom. Ci potrafili ściągnąć tłumy ludzi do siebie, urządzając wspaniałe uroczystości kościelne z niebywałym przepychem. Tu odbywały się dysputy z dysydentami i widowiska teatralne grane przez studentów kolegium, które założyli Jezuici przy kościele. Stefan Batory przemienił to kolegium w r. 1578 na akademię i zrównał ją z Krakowską.

W kościele tym witali Jezuici Stefana Batorego Tu klęczał Chodkiewicz, któremu Batory przepowiedział sławną przyszłość. Tutaj odbywała się doktoryzacya Macieja Sarbiewskiego, znakomitego poety łacińskiego, w obecności króla Władysława IV.

Z innych kościołów we Wilnie należy jeszcze wymienić mały, ale najpiękniejszy kościółek św. Anny. Świątynia ta, mimo małych rozmiarów, cieszy się rozgłosem wszechświatowym. Jest to zabytek gotyku z odcieniem wiślano-bałtyckim. Mimo pożarów zachował swe kształty jeszcze z wieku XIV. do dzisiaj. Kościółek ten zbudowany z żółtej cegły, napuszczanej czerwoną farbą. Trzy zgrabne, prześliczne wieżyczki lekko strzelają ku niebu. Wszystko jest takie harmonijne, takie urocze, a zarazem dziwnie proste. To też Napoleon ujęty pięknością, miał powiedzieć, że gdyby mógł, przeniósłby kościółek na dłoni do Paryża.

Przejdźmy jednak od kościołów do innych zabytków.

Zaułkiem, przez ulicę Baksztę dochodzimy do najstarszej dzielnicy Wilna. Już w XII. wieku była tu osada nad rzeką Wilenką, od której miasto nazwę otrzymało. Ze wzgórzem tem związane są różne legendy n. p. o bazyliszku, którego zabił młody Litwin, niosąc przed sobą zwierciadło, albo o czarownicach, które zlatywały się na Bakusztę, by odprawiać sobótki. Dzisiaj została tylko baszta czworoboczna, do której prowadzi korytarz, cenny zabytek dawnego budownictwa. Z Bakszty, przez ul. Niemiecką niedaleko do ratusza. Stary ratusz w dawnej formie dziś już nie istnieje. Przebudował go prof. Gucewicz przy końcu XVIII. wieku. Ach, gdyby te stare kamienie mogły nam opowiadać dawne dzieje! Cała przeszłość przesunęłaby się przed oczyma naszemi, od historyi pręgierza i szubienicy, która na rynku stała, aż do tych świetnych balów i maskarad, które się odbywały w XIX. w. w sali ratuszowej. Na tem samem miejscu, na którem sto lat temu żołnierz francuski padał z głodu i wycieńczenia, dzisiaj żołnierz niemiecki z czapeczką na bakier, z rękoma założonemi w spodnie, z nieodłącznem cygarem w ustach przechadza się „gemüthlich", jakby u siebie w domu. Niedaleko ratusza okazały pałac Paców, wzbudzający dawniej zachwyt. Stąd przysłowie: „wart pałac Paca, a Pac pałaca"; w salach tego pałacu szlachta wydała bal carowi Aleksandrowi I. w r. 1812, a w parę tygodni później przyjmowała w tych samych murach Napoleona. Jakże kapryśną jest fortuna!

Niedaleko, w zaułku dom „Psia Górka". Tam w pokoiku na poddaszu o dwóch okienkach zbierała się młodzież za czasów Zana i Mickiewicza, a nie jak dzisiaj w kawiarni lub na corso. Tam łączyły się serca i myśli zestrzeliwały w jedno ognisko, by później buchnąć ogromnym płomieniem miłości ojczyzny.

Czas mijał szybko, zbliżała się chwila odjazdu. Trzeba było korzystać z nadarzającej się sposobności. Zwiedziłem pałac gubernatora, mieszkanie dawne osławionego Murawiewa. Byłem w tym gabinecie na I. piętrze, w którym Wieszatel zatwierdzał wyroki śmierci. W r. 1863 odnowiono gruntownie pałac! Być może, że duchy stracenców nie pozwalały spokojnie zasnąć wielkorządcom Litwy. Dzisiaj w tym budynku muzeum im. Murawiewa.

Za placem pałacowym dawny uniwersytet. Tu mieści się biblioteka publiczna, zajmująca 17 sal, o 200.000 tomach. Obok muzeum starożytności, założone przez hr. Tyszkiewicza.

Tu jest także archiwum centralne, składające się z aktów sądowych i trybunalskich, do których dołączono archiwa klasztorne, a także akta grodzkie i ziemskie z Lublina. Zbiór tych cennych materyałów, to skarby dla badaczów naszej wielkiej, minionej przeszłości. W murach po-uniwersyteckich znajduje się jeszcze sławne dawniej obserwatoryum astronomiczne. Pod oknami drugiego piętra na marmurowej tablicy błyszczy złocisty napis:

„Haec domus Uraniae! est Curae procul este profanae!
Temnitur hic humilis tellus, hinc Itur ad Astra".

Zaprawdę, że „hinc itur ad astra". Przypominam, że tu wykładał słynny astronom Marcin Poczobut, który odkrył nową konstelacyę nazwaną przez niego „Ciołkiem". W murach tego uniwersytetu żyli i pracowali tacy, jak Pijar Stanisław Jundziłł, znany botanik, jak bracia Śniadeccy i inni. Nie dziw, że młodzież, mając tak dzielnych profesorów, rwała się „ad astra", pokochała całem sercem naukę, a sława uniwersytetu wileńskiego rozeszła się po całym świecie. Wilno nazwano Atenami Północy. Nawet rok 1812 nie zgniótł tego ogniska oświaty.

Ale później nadeszły inne, gorsze czasy. Ujrzało Wilno Napoleona, nie w błyszczącym, paradnym mundurze, na

czele bitnych wojsk, ale na sankach chłopskich. Ten bóg wojny, zatrzymawszy się kilka minut w Wilnie, popędził przez Kowno za granicę. A za nim przywlokły się resztki sławnej armii, którą zgniótł generał „Zima". W r. 1863 przybył do Wilna gen. gubernator hr. Michał Murawiew z władzą dyktatorską. I zaczął rządzić tak, że pamięć jego czynów do dziś jeszcze wstrząsa dreszczem trwogi mieszkańców Wilna. Nastały czasy reakcyi. Wydawało się, że brutalna siła zgniecie żywioł polski. Stało się jednak inaczej. Wilno robi dziś wrażenie miasta polskiego. Na ulicach słyszy się przeważnie język polski. Tu i ówdzie pozostały jeszcze szyldy z napisem rosyjskim. Zresztą żadnego śladu panowania Rosyi, tylko kilka wielkich soborów prawosławnych, z cebulastemi baniami, krytemi złotą blachą. Stoją ciche i opuszczone, jakby dumały nad minioną przeszłością.

Cóż przyniesie przyszłość umiłowanemu miastu? Nie wiemy! Na odjezdnem wdałem się w pogadankę z jednym obywatelem Wilna. Pytałem go, jakie mają nadzieje, jakie rojenia i pragnienia. I otrzymałem odpowiedź: „Ej nie wiem, bo ludziska różnie jakoś gadają".

Wsiadłem do pociągu, by jechać dalej na Wschód, na stanowisko wyznaczone. Powoli znikało miasto z przed oczu i tylko w blaskach zachodzącego słońca długo jeszcze błyszczały banie soborów prawosławnych a w duszy raz po raz budziło się pytanie:

„Cóż się stanie z tem miastem — bo ludziska różnie gadają". *X. Struszkiewicz.*

KRONIKA KOŚCIELNA.

Z Rzymu. Przyjmując pielgrzymów z Piemontu, — przybyłych z powodu beatyfikacyi czcigodnego Józefa Cottolengo († 1842) — Ojciec św. w odpowiedzi na adres pielgrzymów, wygłosił mowę, w której powiedział między innemi: „Niegdyś czcigodny Cottolengo starał się łagodzić cierpienia, gdy tymczasem teraz od trzech lat ludzie starają się jeszcze powiększyć wielką niedolę. Godziło się dziś ukazać światu Tego, który wśród tego ogromu zniszczenia i żałoby może ludziom przypomnieć miłość bliźniego. Gdy inni zabijają, kaleczą, pomnażają listę wdów i sierót, trzeba, aby w osobie Cottolengi zajaśniał znowu wieczysty wizerunek Jezusa. Oby nowy ten Błogosławiony uprzytomnił ludziom naszej doby, że najwznioślejsze są działania, przynoszące ulgę w cierpieniach na ziemi i że najwznioślejsze są słowa, mówiące o przebaczeniu, współczuciu i pokoju".

Uznanie obrządku grecko-katolickiego w Rosyi. Organ rosyjskiego ministra sprawiedliwości Kiereńskiego „Dień" zamieścił w n-rze z 6. kwietnia b. r. następującą notatkę: „Centralna Rada Ukraińska" w Kijowie przedłożyła rządowi prowizorycznemu memoryał, w którym między innymi zwraca uwagę rządu na to, iż wobec zniesienia wszystkich ograniczeń religijnych również Unici w zajętych powiatach Galicyi i Bukowiny nie powinni być więcej uciskani.

Cerkiew grecko-katolicka została już prawnie uznana w Rosyi. Urzędnicy, przeszkadzający przynależnym do Cerkwi unickiej w spełnianiu ich obowiązków religijnych duchowni, którzy nawracają na prawosławie Ukraińców-unitów przemocą, mają odpowiadać przed sądem wojennym. Władzom, rządzącym w Galicyi, podano do wiadomości to rozporządzenie rządu prowizorycznego.

Za co wywieziono X. metropolitę Szeptyckiego? Moskiewskie „Utro Rossyi" zamieściło w n-rze 7 (z dnia 28. marca b. r.) „rozmowę z metropolitą Szeptyckim", z której wyjmujemy następujące urywki: X. metropolita oświadczył przedewszystkiem, iż nie wie, za co nałożono na niego areszt i zsyłkę: żadnego przestępstwa przeciw rządowi rosyjskiemu nie popełnił i popełnić nie mógł, bo jako głowa Cerkwi unickiej w Galicyi nie zajmował się nigdy polityką. Represye, zastosowane do niego przez dawny rząd, skłonny jest uważać nie za co innego, jak tylko za jeden z objawów szczególniejszego pojmowania przez władze rosyjskie w Galicyi zadań rusyfikacyi kraju zawojowanego.

Po zajęciu Lwowa przez wojska rosyjskie X. metropolita Szeptycki, odprawiając nabożeństwo, wypowiedział kazanie, w którem powiedział dosłownie: „Bracia chrześcijanie! Powinniśmy gorąco dziękować Bogu za to, że teraz naród rosyjski, który był oddzielony od nas kordonem granicznym i znał tylko oficyalne prawosławie, ujrzy prawdziwą Cerkiew prawowierną w rozkwitającej w Galicyi Unii".

Następnego dnia po tem kazaniu przybył do metropolity gubernator wojenny Szeremetjew i oświadczył mu, że jest oskarżony o wystąpienie z ambony przeciw armii rosyjskiej. Dalsze koleje X. metropolity Szeptyckiego są znane i dlatego nie powtarzamy ich. Na jedno wszelako niepodobna nie zwrócić uwagi. Czytając tekst autentyczny „występnego kazania X. metropolity, w którem oprócz zwyczajnego i nawet ze stanowiska dogmatycznego „obowiązkowego" w kołach duchownych wywyższenia swojej wiary nad obcą, nie ma absolutnie żadnych aluzyi politycznych, niepodobna nie wyjść ze zdziwienia, iż na takiej właśnie podstawie więziono X. metropolitę tak długo!

Zet.

Saksonia przeciw Jezuitom. „Neueste Münchener Nachrichten" donoszą w korespondencyi z Drezna, że rząd saski oświadczył się przeciw zniesieniu ustawy o Jezuitach. Skutkiem tego dotychczasowe ustawy przeciwjezuickie w Saksonii będą nadal obowiązywały. Wątpimy jednak, czy sejm Rzeszy na to pozwoli? *Z.*

Ziemia święta podczas wojny obecnej. Jeden z lekarzy wojskowych zamieszcza w „Illustrierte Zeitung" (5 kw. 1917), wychodzącej w Lipsku, kilka szczegółów z Ziemi świętej, której wojna także nie pozostawiła w spokoju. Zamiast pobożnych pielgrzymów, którzy rokrocznie zdążali do Palestyny z różnych krańców świata, aby duszę podnieść do Boga, pokrzepić wspomnieniami męki Zbawiciela, snują się tam liczne zastępy wojskowe. Obok góry Synaj rozłożone jest dziś obozowisko korpusu ekspedycyjnego, którego zadaniem jest czuwać nad kanałem Suez. Obok obozowiska żołnierze tureccy, niemieccy i austro-węgierscy ćwiczą się w strzelaniu z armat i karabinów maszynowych. Po nad obozem codziennie szybuje latawiec, pociągi na nowo zbudowanych torach wiozą amunicyę i prowianty, a wozy automobilowe zakłócają głęboką ciszę pustyni turkotem kół i świstem syren.

Gdzie ongiś rezydował biskup, a przed wojną beduin z meczetu śpiewem wzywał wyznawców Mahometa do modlitwy, — dziś leżą ranni i chorzy, katolicy i innowiercy pod opieką lekarzy i sanitaryuszy.

Po nowych drogach wiją się kolumny żołnierzy, toczą się ciężkie działa, zamiast karawan kupieckich, ciągną karawany z materyałem wojennym. Kupca dziś nie widać, a pasterz ze swoją trzodą kryje się wśród skał, tęskniąc za dawnym spokojem. Hebron, najstarsze miasto świata, gości również u siebie wojska przybyłe z Europy. Wśród ogrodów oliwnych, przy źródłach słodkiej wody, rozbito namioty, w których żołnierze tęsknią za domem rodzinnym, za ziemią ojczystą. Podobne obrazy widzi się i w Galilei przy zielonych wodach jeziora tyberyadzkiego

i przy jedynej studni w Nazaret, z której N. P Marya czerpała wodę dla Świętej Rodziny.

Lud zdziwiony spogląda ciekawie na żołnierzy, którzy blaszanki swoje napełniają wodą, by mieć zapas na dalsze marsze.

Wojna i tu na mieszkańcach wycisnęła swoje piętno. Wielu żebraków włóczy się i wyciąga ręce do przechodzących żołnierzy, wielu umarło z głodu — a i średnio bogaty mieszkaniec Palestyny posprzedawał handlarzom piękne kobierce, by za uzyskane pieniądze kupić chleba.

Żołnierze grupami zwiedzają Betleem i Jerozolimę, by tak drogie miejsca pamiątkowe uczcić modlitwą. Kiedy żołnierz katolicki przestępuje progi miast świętych, dziwi się, że tych miejsc strzegą Mahometanie. Na górze oliwnej, powyżej ogrodu Getsemani, wznosi się zakład im Augusty-Wiktoryi, wspaniale urządzony, gdzie jest obecnie kwatera komendy tureckiej. W święta wielkanocne tłum, złożony z Turków, handlarzy, żołnierzy austro-węgierskich i niemieckich, zapełniał plac przed kościołem Bożego Grobu i samą świątynię.

Na wieżach klasztornych Jerozolimy powiewają chorągwie „Czerwonego Krzyża" i „Czerwonego półksiężyca", jako oznaka, że w celach klasztornych mieszczą się żołnierze ranni i chorzy ze wszystkich armii walczących. Sama Jerozolima jest obozem wojennym — a góra oliwna główną kwaterą.

Ciężką więc jest wojna także dla Ziemi świętej, ale w Bogu nadzieja, że wnet znowu będą tam mogły zdążać tysiące pielgrzymów. *X. Pilin.*

Z Czech. Apostazya zakonnika. Cysters Ottomar Liebisch (z klasztoru Osiek) przeszedł na starokatolicyzm. Z tego powodu ogłosił biskup w Litomierzycach w kurendzie tamtejszej (nr. 35), co następuje: „Spełniam najsmutniejszy obowiązek biskupa, oświadczając, że kapłan z zakonu Cystersów O. Ottomar Liebisch, który trwa uporczywie w herezyi, popadł w ekskomunikę, ustanowioną w bulli „Apostolicae Sedis" i zastrzeżoną Stolicy św.".

Z Solnogrodu. Zapowiedź założenia nowego uniwersytetu. Wiadomo, że przed laty zawiązało się w Solnogrodzie osobne stowarzyszenie, które wytknęło sobie jako cel zbieranie składek na wolny uniwersytet katolicki. Dotąd zebrano sumę stosunkowo znaczną (pół szosta miliona koron, jeżeli dobrze pamiętamy), ale jeszcze wcale nie wystarczającą na założenie i utrzymanie uniwersytetu. Z drugiej strony starała się także partya „liberalna" uzyskać w tem samem mieście wszechnicę, utrzymywaną kosztem państwa, a więc nie wyznaniową. Otóż teraz przyszło do ugody między temi dwoma stronnictwami i oba zwróciły się z prośbą do cesarza o założenie uniwersytetu rządowego w Solnogrodzie, co im też przyrzeczono. Treść ugody trzymana jest w tajemnicy, prawdopodobnie jednak otrzymali katolicy zapewnienie, że nauczyciele nowej szkoły nie będą występowali przeciw Kościołowi i etyce chrześcijańskiej. W każdym jednak razie trzeba ubolewać nad tem, że i nadal Austrya nie będzie miała żadnego wolnego uniwersytetu katolickiego!

Z Ameryki. Zarzuca się nieraz — i słusznie — obywatelom Stanów Zjednoczonych kult dolara, bo może w żadnym innym kraju nie goni się tak namiętnie za groszem i może nigdzie takiej potęgi nie zdobył sobie wielki kapitał, jak tam; — ale z drugiej strony zapisać też można niejedną imponującą ofiarę, złożoną przez katolików amerykańskich na cele publiczne, a w szczególności i kościelne. Oto znowu, jak donoszą pisma tamtejsze, które doszły do Europy, złożono w Stanach północno-wschodnich liczne hojne datki na kościoły i zakłady wychowawcze: i tak zapisał Charles Sharp na rzecz domu dla młodzieży katolickiej w Kansas City 350.000 dolarów, Malcolm Mc Donald ofiarował 500.000 dolarów na klasztor Karmelitów w Seattle (Washington), a tyleż zebrano na uniwersytet Jezuitów (Marquette) w Milwaukee. W marcu b. r. zaczęto budowę nowej katedry w Cleveland, która ma kosztować milion dolarów, a prezydent trustu stalowego Ch. M. Schwab dał 2 miliony dolarów na kolegium Franciszkanów w Loretto w Pensylwanii. Teraz jednak trzeba niestety obawiać się, że udział Stanów Zj. w nieszczęsnej wojnie sprowadzi i tam smutne bardzo następstwa i wyrządzi szkody niepowetowane!

Bibliografia.

Dr. Karol Weinmann. **Dzieje muzyki kościelnej.** W dodatku Muzyka kościelna w Polsce przez Dr. A. Chybińskiego, 244+V. in 8° opr. 4 kor. Ratyzbona (Regensburg) Nakładem i drukiem Fryd. Pusteta. Książka napisana w r. 1906, w języku polskim ukazała się teraz.

Nic tak bardzo duszy nie podnosi i od ziemi nie wyzwala, jak wiersze śpiewane i Boska pieśń (św. Chryzostom).

Historyę rozwoju pieśni kościelnej, śpiewanej i granej, napisał Dr. Weinmann, dyrektor szkoły muzycznej w Ratyzbonie, na polu muzyki kościelnej wielce zasłużony. Niewielka wprawdzie rozmiarami książeczka, ale bardzo treściwie i zwięźle napisana przedstawia nam popularnie, a jednak pouczająco historyę śpiewu i muzyki kościelnej, różne jej rodzaje i formy, począwszy od pieśni jednogłosowej, wielogłosowej i instrumentalnej od pierwszych jej zaczątków aż do jej dzisiejszego stanu. — Autor z góry zaznacza, że dzieło to nie jest przeznaczone w pierwszej linii dla fachowca, lecz dla lubiących sztukę i dla tych, którym *Musica sacra* jest czemś, co ich podnosi i uszlachetnia. W samej też książce uniknął suchego zestawienia licznych dat i nazwisk, lecz materyał cały przedstawił żywo w sposób łatwy do przyswojenia bez mozolnych studyów.

Zaczynając od historyi śpiewu jednogłosowego psalmów i hymnów, których forma melodyi od Żydów, a nieraz i od pogan była zapożyczona, jak to i sam Rzym śpiew swojej liturgii reformował według wzorów wschodnich, przedstawia następnie autor rozwój śpiewu gregoryańskiego. Następuje w 2 rozdziałach teorya tego śpiewu w najogólniejszych prawidłach, jego upadek za czasów humanizmu i następne usiłowania przywrócenia mu dawnej formy, których owocem było „Ordinarium Missae" 1905 r. wydane jako typowe z polecenia Piusa X. Historya wielogłosowej muzyki kościelnej opowiedziana jest zwięźle i treściwie.

Jest też jeden rozdział poświęcony historyi organu, w którym między innemi czytamy o organie w Winchester, który miał 10 klawiszów a 400 piszczałek, grało na nim dwóch organistów, a 70 ludzi poruszało jego 26 miechów.

Osobny rozdział dziełka (50 stron) stanowi historya muzyki kościelnej w Polsce, skreślona przez prof. hist. muzyki Dra Adolfa Chybińskiego. Autor przytacza nazwiska i dzieła różnych naszych kompozytorów starszych i młodszych: Mikołaja z Radomia (w. XV.), Sebastyana z Felsztyna (w. XVI.) Wacława z Szamotuł († 1572) Mikołaja Zielińskiego, Stanisława Moniuszki (7 mszy) i t. d.

Przy każdym jest ogólna charakterystyka jego dzieł, ich epoki, wpływów zagranicznych, oraz stosunek różnych form muzyki do liturgii katolickiej.

Możnaby zarzucić autorowi, że nie dość szczegółowo ocenił dzieła najnowszych naszych polskich kompozytorów i że nie dodał indeksu osobowego.

Zresztą książeczka ta, bardzo pożyteczna, a w polskim języku jedyna, powinnaby zainteresować nasze duchowieństwo. *X. Sz*

Łempicki Stanisław dr. **Tadeusz Rutowski** (3. września 1914—20. czerwca 1915). Lwów, 1917. Staraniem biura prasowego Depart. wojsk. N. K. N. 8-ka mała, str. 72. Cena 1 kor. Skład główny w księgarni Józefa Chęcińskiego, ul. Rutowskiego 1.

Dobrze stało się, że zasługi, położone podczas inwazyi rosyjskiej przez wywiezionego przez Rosyan prezydenta Lwowa, zostały tak rychło uwiecznione w omawianej broszurze. Dr. Rutowski bowiem okazał się nieodrodnym następcą swoich poprzedników na stolcu prezydyalnym Lwowa, takich jak: Kampian, Groswajer, Łącki i Zimorowicz, co umieli mężnie stawić czoło nieprzyjacielowi. I on,

jak tamci, jest „civis magnus“ Lwowa, a obok tamtych imion wyrytych twardym rylcem niewzruszonej wdzięczności współobywateli w spiżowej księdze dziejów Lwowa, błyszczy dzisiaj nowe imię męża o rycerskim duchu i wielkodusznem, czystem, współczującem sercu. W latach 1914 i 1915 Tadeusz Rutowski wytrwał na stanowisku, gdy inni uważali za dopuszczalne i stosowne opuścić zajmowane odpowiedzialne posterunki i miasto; jak Zimorowicz i Łącki, był puklerzem twardym, obronnym przeciwko zakusom i uderzeniom potężnego najeźdzcy, jak Kampian wreszcie, czułą ręką lekarza dotykał ran społeczeństwa, goił je, chronił bezdomnych, odziewał nagich, łaknącym podawał strawę. Na dobitek, kiedy tamci trzej jego poprzednicy z ducha i urzędu przetrwali szczęśliwie okropne czasy moru i wojny, rychło zbierając owoce swego znoju, p. Rutowski porwany przez nieprzyjaciela z ukochanego miasta, wyruszył śladami tylu wielkich w narodzie, na północ, na długie dni rozłąki i tęsknoty.

Świetne pióro dra Łempickiego odtworzyło wiernie wizerunek duchowy Rutowskiego, poczynając od dni, pełnych osobliwej grozy, wyprzedzających bezpośrednio zajęcie miasta, kiedy to cały Lwów stał się nieprzytomny, a mieszkańcy jego gnali na oślep w histerycznym strachu przed „oswobodzicielami Słowiańszczyzny“. Na takiem to tle zupełnej dezoryentacyi, gdy miasto mogło zagrażać wszystko, co najgorsze, ukazuje nam dr. Łempicki białego starca, który w pamiętnej odezwie przemawiał z głębi serca do godności Polaków, akcentował konieczność spokoju i powagi narodowej w tej przełomowej chwili. Ta sama, świadoma siebie, wysoka godność Polaka manifestowała się też w każdem ówczesnem wystąpieniu Rutowskiego. Stanowisko bowiem Rutowskiego wobec nowych panów stolicy było odrazu zdecydowane, a cechowało je poczucie godności i odpowiedzialności wobec narodu i państwa, to też było pod tym względem stanowcze za każdą cenę, n i e u s t ę p l i w e. Rutowski akcentował zawsze wobec dygnitarzy rosyjskich polski i tylko polski charakter miasta, któremu chciano narzucić przemocą markę „istinnorusską“, a które on nazwał wobec wojennego gubernartora „prastarym grodem, co był przez wieki wielkiem centrum życia narodowego“. Skutkiem tego dygnitarze rosyjscy poznali się szybko na kryształowym charakterze i wysokiej kulturze Rutowskiego, a dumny, lekceważący gest zwycięzców-autokratów ustąpił miejsca szacunkowi, podziwowi i pełnemu zaufaniu w rozum i uczciwość prezydenta miasta Lwowa. Pełne rzewności obrazki przesuwają się w rozdziale, w którym mowa o Rutowskim — jako żywicielu i opiekunie ludności lwowskiej, o wdrożonej przez niego akcyi zapomogowej, o troskach o austryackich inwalidów i jeńców. W broszurze dra Łempickiego rysuje się wyraźnie sylwetka dra Rutowskiego, co był dla miasta „vir bonus“ w starorzymskiem tego słowa znaczeniu, bo potrafił zestrzelić dusze innych w jedno ognisko wokoło siebie i żarem swojej miłości ojczyzny, swoich nigdy nie gasnących nadziei lepszego jutra rozgrzać serca zbolałe, wątpiące i niehartowne. Książeczka dra Łempickiego zasługuje na najszersze rozpowszechnienie, zwłaszcza wśród młodzieży, której dać może zdrowy pokarm dla umysłu i serca. *Dr. Sl. Zdziarski.*

H a t t l e r Ks. F r a n c i s z e k T. J. **Kwiaty z Bożego ogrodu**. Zbiór legend z życia Świętych. Przetłumaczyła z niemieckiego A. D. Z 14 obrazkami. Nakładem Drukarni i Księgarni św. Wojciecha. Poznań 1916. Str. 295. Cena w oprawie 3 80 mk.

Książka ta doczekała się w oryginale niemieckim już dwunastu wydań, co świadczy niewątpliwie o jej wartości. Autor opowiada w sposób bardzo zajmujący i dla dzieci przystępny żywoty: Najśw. Panny Maryi, Św. Alojzego Gonzagi, Bartłomieji Capitanio, Cyryla, małego męczennika, Błog. Maryi Lataste, Św. Marcina, Św. Róży z Limy, Małych męczenników japońskich, Św. Teresy, Św. Kazimierza, Błog. Germany Cousin, Św. Franciszka Salezego, Św. Elżbiety Turyngskiej, Św. Paschalisa Baylona, Św. Agnieszki, Św. Jana Berchmansa, Św. Lidwiny, Św. Bernardyna Sienneńskiego, Św. Majoryka i innych małych męczenników, Błog. Maryi Teresy, arcyksiężniczki austryackiej, Św. Stanisława Kostki.

Umiał on połączyć w opowiadaniach tych przyjemność z pożytkiem. Przekład polski jest bardzo dobry. Szereg pięknych ilustracyi ozdabia książkę, którą zaliczamy do najlepszych, jakie możemy dać do rąk dziatwie naszej i dorastającej młodzieży. *X. P.*

Wiadomości dyecezyalne.

Arch. lwowska ob. łać.

Przeniesieni XX.: Michał Struś z Kulikowa do Wiesenberg, jako administrator; Piotr Stuszkiewiaz, b. kapelan wojskowy, do Kulikowa.

Urlop do końca roku 1917 otrzymał X. Franciszek Lang, administrator w Wiesenbergu.

Zmarł X. Jakób Cwynarski, proboszcz z Bojan, wywieziony przez Rosyan w r. 1915, w Permie 7. lutego 1917 w 74 r. życia, a 48 kapłaństwa. — *R. i. p.*

Dyecezya przemyska.

Przeszedł w stan spoczynku po otrzymaniu pensyi emerytalnej X. Zygmunt Szymczakowski, ekspozyt w Tamanowicach.

Powołany do wojskowej służby duszpasterskiej X. Franciszek Pinda, wik. w Niewodnej i rezerwowy kurat polowy.

Egzamin konkursowy na proboszczów zdali w dniach 25. i 26. kwietnia b. r. XX.: Franciszek Bolek, wik. w Leżajsku; Adam Czubek, wik. w Bieczu; Stanisław Głodowski, katech. w 5-kl. szk. lud. w Brzozowie; Szymon Korpak, katech. szk. wydz. męs. w Sanoku; Antoni Lorens, administrator w Żurowej; Stanisław Machnik, wik. w Rzeszowie; Paweł Matuszewski, wik. katedralny w Przemyślu; Wincenty Osikowski, wik. w Wielowsi; Feliks Slepecki, wik. w Dudyńcach; Wojciech Wanielista, wik. w Rudniku; Franciszek Wolski, wik. katedralny w Przemyślu.

Święcenia kapłańskie otrzymali dnia 6. b. m. w kościele katedralnym z rąk J. E. X. Biskupa Pelczara następujący dyakoni, alumni seminaryum duchownego: Borcz Józef, Borowiec Maryan, Czajkowski Leon, Czekański Kazimierz, Florkiewicz Stanisław, Głodowski Roman, Gościński Grzegorz, Górecki Jan, Górnicki Teofil, Grabowski Ludwik, Grodkowski Paweł, Kędzierski Marcin, Kluz Michał, Kulczycki Władysław, Lubasz Stanisław, Łęgowski Wojciech, Majchrzycki Leon, Makara Jakób, Małyka Stanisław, Mihułka Jan, Murdza Władysław, Murdza Tomasz, Pasternak Adam, Płaza Marcin, Sabat Stanisław, Sanowski Jan, Suchodolski Maciej Karol, Świdnicki Józef, Wielgosz Ludwik, Wiesławski Jan, Wójcik Władysław, Zagrodzki Franciszek.

Zmarł X. Aloizy Ruszar, kurat polowy, w 37 roku życia, a 13 r. kapłaństwa. — *R. i. p.*

Dyecezya tarnowska.

Zamianowany administratorem w Żeleźnikowej X. Piotr Lewandowski, wik. w N. Sączu.

Korespondencya Redakcyi.

X. Cav. w Zak., X. M. K. w N., W. X. Dr. J. K. w Kr. Bardzo dziękujemy! Art. będzie w najbliższym czasie.

X. J. Br. w B. Prosimy nie odsyłać tych n-rów, bo zawsze mamy pewną ilość nadliczbowych.

Własność Towarzystwa Wzajemnej Pomocy Kapłanów.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: X. Dr. Aleksander Pechnik. Z drukarni J. Chęcińskiego we Lwowie, ul. L. Sapiehy 77.